

Wrażenia z niegdysiejszych spotkań z rodakami w Polsce

Latem 1964 roku z moją małżonką, Anią, na zaproszenie jej siostry, Zosi Abkowicz, pierwszy raz wyruszyliśmy z Wilna do Polski, by odwiedzić rodzinę i znajomych, a także pokłonić się przy grobach członków rodziny Szpakowskich na Cmentarzu Karaimskim w Warszawie.



Fot. arch. autora

Romuald i Anna Szpakowscy nad Morskim Okiem, lato 1964 r.

Formalności związane z otrzymaniem paszportu zagranicznego, zdobycie biletu do Warszawy i wymiana waluty zawsze zabierały dużo czasu i sił. Jechaliśmy w towarzystwie Abkowiczów, Zosi i Sławka. Żeby nie drażnić „pograniczników”, siedzieliśmy w różnych przedziałach.

Pierwsze przygody zaczęły się w Grodnie. Na początku oficer zbierał paszporty, identyfikując osobę, a potem po sprawdzeniu, czy pasażer jest w porządku w stosunku do państwa, żołnierz zwracał dokumenty. Służba graniczna pomyliła jednak paszporty i tak paszport Ani okazał się w rękach Zosi, a Zosiny u Ani. Na szczęście nie wynikły z tego kłopoty.

Po przybyciu do Warszawy otrzymaliśmy wiadomość, że w Gdańsku gości pani Janka, żona mego stryja, Eliasza, która przyjechała jako turystka z Montrealu w Kanadzie. Poznaliśmy miłą i serdeczną kobietę, która zainteresowana była karaimską religią, obyczajami, tradycjami i językiem. Zapytała o możliwość odwiedzenia Hazzana R. Abkowicza we Wrocławiu. Potem pisała w listach, że była w gościnie u Hazzana, który przekazał jej ciekawe informacje o Karaimach, małym narodzie, z którego pochodził jej mąż.

Krewnych w Polsce zezwalano odwiedzać co dwa lata. My jeździliśmy do Gdańska, potem do Wrocławia, a w powrotnej drodze zezwaliśmy Warszawę. Dużo wiadomości udawało się usłyszeć i zebrać w czasie pobytu w Polsce.

Zawsze po przybyciu do Wrocławia czy do innego miasta zbierało się towarzystwo karaimskie, bo interesowało ich, co dzieje się w rodzinnych stronach, jak wygląda teraz życie tam, skąd przybyli. Pamiętam, ile emocji i wrażeń usłyszeliśmy, kiedy moja szwagierka, Zosia Abkowicz zaprosiła karaimskie towarzystwo do siebie na ulicę Kniaziewiczza. Właśnie tam mieszkał bp. Rafał Abkowicz, któremu państwo przydzieliło dwa pokoje, by mógł pełnić obowiązki hazzana. Przy obfitym stole z karaimskimi daniami i krupniczką szła biesiada o rodzinnych okolicach, krewnych. Wspominano dawne dni, zabawy i niejednemu zakreśliła się łza w oku i żal mu było po opuszczonych ojczystych stronach.

W tamtych latach we Wrocławiu mieszkało dość dużo rodzin karaimskich. Za każdym razem, gdy przyjeżdżaliśmy, staraliśmy się wszystkich odwiedzić. Będąc w gościnie u państwa Jerzego i Zofii Łopatto, człowiek odczuwał serdeczność i miłość w stosunkach tych dwojga już nie młodych małżonków, wpatrzonych jedno w drugie jak dwa gołąbki. To było bardzo widoczne i mówiło, przez jakie cierpienia musieli wcześniej przejść. A jednak wytrzymali i nie było w ich oczach żalu. Były tylko miłość i szacunek.

Odwiedziliśmy i panią Jankę Firkowicz¹. Usłyszeliśmy tam gwar halickiej mowy. To bardzo ciekawa sprawa, że ktoś żyjący poza Haliczem dłuższy czas wciąż mówi halickim dialektem. Bardzo przyjemna pani, dużo ciekawych rzeczy dowiedzieliśmy się o Haliczu. Poznaliśmy jej syna Jurka.

Zosi mąż, Bogusław (Sławek), odnosił się do nas bardzo dobrze. Zawsze pomagał nam zrobić zakupy. Wiedział, jakie firmy produkują jakościowo dobre towary. Pamiętam taki wypadek: w przymierzalni wahałem się, czy kupić kurtkę, a on krzyknął: „Bierz i kropka!”.

Ze Sławkiem chodziliśmy do łaźni. To był cały komplet usług: para sucha, para mokra („pariłka”), basen. Po takiej łaźni wychodziło się do sali, gdzie czekało łóżko, prześcieradło. Tak się relaksowano po „ciężkiej pracy”.

Sławek załatwił bilety na operetkę. Przysłaliśmy trochę spóźnieni i Sławek wprowadził nas do łoży, tuż obok sceny. Dziwiło nas, że spoglądali na nas i widzowie z parteru, i aktorzy. Okazało się, że to była łoża dyrektorska.

Ciekawe spotkanie odbyło się w gabinecie pana Gabriela Dubińskiego², dyrektora Liceum Ekonomicznego, w którym pracowała też Zosia. Spacerując pewnego dnia po mieście, zaszliśmy tam razem z nią. Spotykamy pana dyrektora w korytarzu. Wiadomo, jak zawsze, ciepłe uściski, pytania, co tam w Trokach słychać. Po krótkiej rozmowie pan Gabriel przeprasza, że nie może z nami dłużej zostać, gdyż ma posiedzenie, przedstawia nam swojego kolega, który się nami posiedzenie, przedstawia nam swojego kolega, który się nami zajmie i zaprasza do gabinetu. Na biurku pojawiają

się kawa i koniak. My skromnie wymawiamy się, ale uprzejmy kolega dyrektora nie wypuszcza nas, dopóki nie spróbujemy koniaczku. W końcu udało się nam delikatnie wymknąć.

Brat Gabriela, Mikołaj Dubiński³, zawsze przychodził do Zosi, gdy ktoś przyjeżdżał z Litwy. Interesował się życiem Karaimów w Trokach. Później, kiedy już był chory, przyjmował gości, siedząc w łóżku. Z uśmiechem na twarzy próbował rozmawiać, ale choroba nie pozwalała. Staraliśmy się nie zamęczać chorego.

Pewnego razu byliśmy w Polsce jesienią i na Zaduszki poszliśmy na cmentarz komunalny we Wrocławiu złożyć kwiaty na mogiłach rodaków. Staliśmy przy grobie pani Lidii Firkowicz, gdy pojawił się pop z krzyżem. Popi w dni świąteczne dyżurują na cmentarzach i posługują rodzinom zmarłych. Pop podszedł i do nas, zmówił modlitwę przy grobie, a następnie podniósł krzyż do pocałowania. Pomyślałem: „Co mam robić?” Nie mogłem być „białą wroną” i pocałowałem. W domu „dla dezynfekcji” popłukaliśmy ze Sławkiem usta koniaczkiem.

Sławek Abkowicz zawsze był oddany rodzinie. Starał się, żeby pobyt nasz był urozmaicony. Zaprosił nas pewnego razu na wieczór do luksusowej restauracji „Monopol”. Zamówił „Złotą” wódkę i „tatar”. Popijamy „Złotą” wódkę i zakąsujemy zimnymi przystawkami. Orkiestra cudownie gra szlagiery, tango, więc zapraszamy nasze damy w tany. Wracamy do stołu po romantycznym tańcu, a tu kelner podaje „kuczę” surowego mielonego mięsa z żółtkiem w środku. Zdziwiony zwracam się do Sławka i pytam: „Co to?”. Okazało się, że to „tatar”. Nieprzyzwoicie zachowałem się, bo nie wiedziałem, że tak wygląda befszytk tatarski. Odmówiłem. Dla smakoszy to delikates. A dla Wilniuka – surowy farsz na kotlety. A fu!

Pamiętam pewną podróż z Warszawy do Gdańska. W pociągu straszny tłok. W przedziale miejsca nie było. Chwała Bogu, że pozwolono nam ulokować walizkę na górnej półce. Mieliśmy z Anią do dyspozycji jedno opuszczone krzeselko na korytarzu. Zmienialiśmy się miejscami. Bawiły nas opowiadania siostr zakonnych, ich anegdotki i śpiew. Tak zleciała noc i o 6-tej rano na dworcu w Gdańsku, w bufecie piliśmy herbatę, z cytryną – pierwszy raz w życiu.

Po herbacie czekało na nas spotkanie z psem wilczurem. Ciocia Miła Szalewicz⁴ schowała zwierzę do łazienki. Po prawdzie powiedzieć, ja psom nie dowierzam i boję się ich. Usiedliśmy przy stole. Popijamy herbatę. Po chwili gospodyni mówi, że pora znajomić się z psem. My w strachu. Pies podchodzi, każdego obwąchuje... A po dwóch dniach chodziłem z nim na spacerki!

W Gdańsku ulica Długa to arteria pełna życia. Można tam spotkać znajomych w zupełnie nieprzewidzianych okolicznościach. Spacerując z Anią po tej ulicy, gdzie na każdym kroku są kawiarenki, patrzymy, a przy oknie którejś siedzi przy stoliku troczanka i zajada ciasteczka. Oczom swoim nie wierzylismy. Ale uśmiech tej starszej pani w naszą stronę potwierdził, że to pani Majfietowa Nowicka⁵ z Trok. Ucieszyła

się na widok przyjezdnych Karaimów z Wileńszczyzny, zaprosiła do mieszkania, gdzie przyszło przekazać informacje o tym, co dzieje się w rodzinnym mieście.

Na tej ulicy Długiej zdarzają się ciekawe sytuacje. Będąc któregoś roku w Gdańsku, chcieliśmy spędzić wieczór w kawiarni, bo gospodarze chwilowo nie byli obecni. Bez problemu znalazło się miejsce. W którymś momencie moja małżonka widzi znajomą osobę siedzącą z towarzystwem. Ja jeszcze wahałem się, czy to mój kolega ze szkoły średniej na Antokolu, którą opuściłem w 1950 roku. Jak potem okazało się, to był rzeczywiście Czesław Łopuszko i „Szpaka” (to mój pseudonim) poznał od razu. Mieszkał *vis-à-vis* kawiarni, więc zaprosił do siebie, by uczęstować koniaczkiem kolegę z dawnych czasów. Wzruszające spotkanie zawsze zostawia w pamięci dobre uczucia.

Być w Gdańsku i nie zwiedzić całego Trójmiasta to chyba grzech. Kupiliśmy w agencji turystycznej bilety na wycieczkę. Dużo lat przeleciało od tej pory, ale kościół w Oliwie zostawił zachwycające wrażenia. Weszliśmy do katedry, zamknęły się drzwi i przez kwadrans grały organy, a nad nimi, pod kopułą katedry wmontowane figurki lalek z bajek, aniołków tańczących pod muzykę organów. Takie cuda rzadko gdzie można zobaczyć.

Zwiedziliśmy też Kraków. Pociągiem z Wrocławia Zosia, Ania i ja pojechaliśmy do Krakowa. Pierwsze wrażenie: plac przy kościele Mariackim, na Wieży Mariackiej odgrywa się hejnał powtarzany cztery razy w cztery strony świata. Przepiękne to uczucie siedzi we mnie już 48 lat.

Być w Krakowie i nie zwiedzić Wawelu to nie do zrozumienia. Kupujemy więc bilety. Dołączają nas do wycieczki ze Szczecina. Autokar wiezie nas na Wawel. Pod koniec zwiedzania przewodnik doprowadza nas do sarkofagu Józefa Piłsudskiego i opowiada, że tu leży ciało Naczelnika, a serce spoczywa w Wilnie, na cmentarzu na Rossie. A żeby dowieść, że to jest prawda, przewodnik wskazuje ręką na nas i mówi, że Wilnianie mogą to potwierdzić. Nam było bardzo przyjemnie to usłyszeć. Grupa turystów okrążyła nas, prosząc o szczegóły pochowania serca Naczelnika w Wilnie. Otrzymaliśmy propozycję przedłużenia wycieczki z nimi. Ale przewodnik na to nie dał zgody.

Takie krótkie epizody z pobytu w Polsce zostają na długo w pamięci. Chociaż przeszło sporo czasu, my z Anią wszystko pamiętamy i teraz dzielimy się swoimi wspomnieniami z innymi.

Romuald Szpakowski, Wilno

Przypisy

¹ Karaimka z Halicza, Janina z Szulimowiczów (1921–1979), żona Anatola Firkowicza.

² Gabriel Dubiński (1924–1999), syn Eliasza, zamieszkały we Wrocławiu Karaim z Trok.

³ Mikołaj Dubiński (1920–1992), z zawodu ekonomista.

⁴ Emilia z Pilekich Szalewiczowa (1901–1977), córka Eliasza, Karaimka z Wilna, zamieszkała w Gdańsku.

⁵ Nadzieja z Jutkiewiczów (1892–1985), wdowa po Józefie Nowickim (1882–1937) zwanym Majfietem, była u synów w Trójmieście, mieszkała i zmarła w Trokach.